

Wycieczka (tomik)



JÓZEF BIRKENMAJER

Wycieczka (tomik)

Listy matczyne

(Wiersz odznaczony pierwszą nagrodą na konkursie w Krakowie)

Na dnie najgłębszej, najcichszej szufladki,
ukrytej w biurku — niby dusza w ciele —
chowam skarb wielki: listy mojej matki
pisane do mnie przez różnych lat wiele.
Tu, gdzie ich żadne nie dosięgną zgiełki,
leżą spokojnie — jak w morzu perełki.

Niegdyś latały — niby białe ptactwo —
na śmigłych skrzydłach — hen w świat gdzieś odległy..
Dziś, zakończywszy bezdomne tułactwo,
na jedno gniazdo gromadnie się zbiegły
i tutaj rzeszą zgodną i bezgwarną
— snąć pomęczone lotem — wraz się garną.

Ja im przytułek dałem i gościnę — —
zabiegiem tutaj zebrałem je skrętnym —
i wydierałem te listy matczyne
losom złowrogim i ludziom niechętnym.
Były mi zawsze przedmiotem mej troski
i strzegł ich pilnie afekt mój synowski...

Nie zniszczył mi ich burz rozlicznych zamęt
(jak to się stało — nigdy nie wyświecił!).
Już tu i ówdzie przybladł w nich atrament,
a papier pożółkł, zszargał się i zetlił —
i rzekłbyś, że go lada siła zetrze,
jak liść jesienny, miotany na wietrze.

Lecz na tych kartkach wytartych i wiotkich,
co zwiędły, mam, jak twoje oblicze,
ileż uśmiechów — jako ono — słodkich!
jakież w nich siły biją tajemnicze,
jakież — w młodości duchowej rozkwicie —
drga w nich przepiękne i prawdziwe życie!...

Niby to jeno cyfry i litery — —
a przecie w każdej literze i cyfrze
kryje się serca twego okruch szczery,
tętnią, śpiewają uczucia najżywsze —

bo twego pisma misterne przędziwo
jest jak żył siatka, krwią nabiegłych żywą...

W samotnych chwilach wyjmuję te listy
i odczytuję od deski do deski.
Wtedy mi w sercu źródło wytryska czysty
i w duszy spokój jawi się niebieski
i tonę cały w czarownej powieści,
obejmującej — lat moich trzydzieści...

Pierwszy z nich — w drżącym nakreślony tonie:
cicho się zwierzasz matce swej... ponieważ
czujesz, że oto zagościł w twym łonie
ktoś, kogo pragniesz — kogo się spodziewasz —
ktoś, kto twojemu sercu jest już bliski...
W chwiejnych literkach lśnią szczęścia pobłyski...

Dalej — w następnych listach kilkunastu
dźwięczą wyrazy serdecznej tęsknoty
ku dalekiemu posyłane miastu,
gdzie bawił ojciec — — o zdrowie kłopoty — —
i dziwne lęki — duszę targające —
choć podróż trwała coś ze dwa miesiące.

W każdym dopisek jest o mnie — na brzeżku —
i tam nazywałeś mnie: «nasze maleństwo»...
W spojrzeniu mojem — i w każdym uśmiešku —
do ojca mego widzisz podobieństwo — —
Piszesz, że moje dziecięce gruchania
łagodzą smutek twojego rozstania...

A potem listów — już do mnie — plik gruby: —
pragniesz, by syn twój, co się w szkołach kształci,
nauką swoją przyczyniał ci chluby
i żeby swoim sprawowaniem dał ci
szczęście i radość... ale ja, zły chłopak,
często czyniłem prośbom twym naopak.

Gdy karę za to wzięło krnąbrne chłopię
i Bóg mu zesłał nędzę i tułaczkę,
nawet w strzeleckim ponurym okopie
całą twych listów otrzymałem paczkę...
Szły za mną listy twe w obcą krainę — —
Łzy w nich piekące były — łzy matczyne...

Listy te były zwięźlejsze — niż tamte — —
A prócz podpisu twojego, o mamó,
miały też podpis: «N... Zensurbeamte...»
Zaś tekst niejedną był upstrzony plamą
i czasem ktoś w nich stronicę roztargał —
ktoś, co świętości moje miał... za szpargał...

Dziś kiedym z własnych doświadczeń dopiero
pojął, co znaczy kochać — własne dzieci,
radość odczuwam dziecięcą i szczerą,
ilekroć do mnie z oddali przyleci

list twój, o matko, tchnący staroświeckiem
pięknem... list, w którym wciąż jestem twem dzieckiem,

Każdy z tych listów w sercu mem rozdzwania,
myśl mą pogłębia, wiąże i uzacnia,
budzi wspomnienia i przyszłość odsłania,
krzepi mą ufność i wolę mą wzmacnia...

Druhy mej doli — życia mego świadki!
Najdroższe listy — listy mojej matki!...

12. I. 1929

Medytacje

W cieniu stuletnich buków nad wąwozem,
koło klasztoru na górze Alwerni,
smutny Pan Jezus siadł na kolumieńce;
rękoma — spletanymi konopnym powrozem —
podpierał głowę skrwawioną,
boć ją przygniotła korona z cierni
i srodze cięży Mu pono...

Usiadł Pan Jezus w smutku okrutnym,
myśli o Swojej męce,
o Swych krzyżowych stacjach...

*

Pod Panjezusem smutnym,
koło wyrębu, na drewnianej ławie,
nieraz w godzinę wieczorną
pogrążony w medytacjach
siadałeś, ojcze Czesławie,
aby odmawiać swe modły
albo kronikę spisywać klasztorną...

Gwarzyły z tobą korne mniszki — jodły,
gwarzyły z tobą bernardyny — buki
w burych a szorstkich habitach,
niby dysputę z tobą wiodły,
choć twej nie miały nauki.

Jednakże czasem w ich szumnych rozchwiejach,
w ich modlitewnych zachwytach,
słyszałeś opowieść rzetelną
o dawnych dziejach,
któreś spisywał do kronik.

I w takiej chwili
nieraz ci szeptał cicho pasikonik:
Cyt! już śpią, śpią snem wiecznym, pod kruchtą kościelną
ci, co tu niegdyś żyli!...

*

Pod Panjezusem smutnym,
na zielonej murawie,
hasały sobie wróbelki,
z rozgwarem buńczucznym, i butnym i chutnym
wzajemnej z każdym szukały zaczepki —
i zaglądały w twarz twoją ciekawie
i za nic sobie mając wzrost twój tęgi, krzepki,
nieraz w poufałości i śmiałości wielkiej
dziobały twoje trepki;
ty dobywszy z zanadru kawał chleba suchy,
sypałeś im okruchy...

*

Kędyś za borem Szymoty,
poza Kwaczałą, Lipowcem,
chowal się słońca krąg złoty;
wieczór już zwolna szarym pokrowcem
osłaniał łąki, łożniaki, zagony,
jakby kościelne barwne feretrony,
po procesyji znów złożone w kącie...

Za mgłą się kryły babiogórskie szczyty
daleko — na horyzoncie,
głowy w kaptury wełniane odziewszy,
jak zakonnicy zamodleni w stalach...
Rąbek zórz się czerwienił — od serc ludzkich krwawszy...

*

Z rąk twych, ojcze Czesławie, wypadal różaniec
i mimowoli zamykał się brewjarz,
gdys, od psalmu wersetów
twarz odrywając, wznosił wygoloną głowę,
a wzrok twój, w którym płonęły zachwyty,
błądził po ziemskich okolach, oddalach
aż poza świata kraniec —
wszędę, wszędę, gdzie miłość Bożą ty rozkrzewiasz...

Liczyłeś te wzgórza i wzgórki
jakby żywego różańca paciorki,
na srebrną Wisłę nawleczone wstęgę;
wertowałeś stubarwne łąki, pola, niwy,
niby inicjałami zdobną starą księgę;
patrzyłeś na sterczące pośród górskich grzbietów
strzeliste krzaki jałowcowe
i na te zorze szkarłatne,
co nad niemi płonęły jak świece roratne;
wzrokiem nabożnym
zatrzymywałeś się przy każdym krzyżu
przydrożnym,
jak gdyby przy ołtarza mensie...

*

Wiatr, który śpiewał poszumów gwarem
i wierzchołki żywicznych świerczyn tarosił,
aromaty upojne z łąk i pól przynosił,
jak ministrant co srebrną kadzielnicą trzęsie...

A tyś swe serce w górę wznosił,
jakgdybys tym cennym puharem
w ręce Boże za braci swych, ludzi, wypijał
wino szlachetne, ożywczy kordyjał
miłości — powszechnej a żywej...

Te łąki — lasy — rzeki — na górach — na niżu —
ogarniałeś miłością i błogosławieństwem,
zowiąc je bracią własną i rodzeństwem,
jak niegdyś mistrz twój — prostaczek z Asyżu...

Cieszyły cię ich wonie, ich gędzby, ich blaski,
a nawet tam gdzie chłodne rozsiadły się cienie
i kędy wrzały niesnaski,
słałeś słowo pociechy — albo rozgrzeszenie
i promień Bożej łaski;
tam zaś gdzie boleść widziałeś i ranę,
wznosiłeś ręce szorstkie, spracowane,
jakbyś chciał wziąć na siebie wszelkich mąk stygmaty...

*

Siedział Pan Jezus smutny, Jezusinek,
na kolumnie kamiennej;
chwilowy ino miał tu odpoczynek,
bo zaraz dalej pożoną Go katy
drogą krzyżową — hań na Kalwaryją —
podług Bóg-Ojca woli nieodmiennej...

Przysiadł, aby se spojrzeć, jak tu ludzie żyją,
jak się radują i cierpią,
jako się krzywdzą i miłują,
jakie zamiary, jakie myśli snują,
skąd wiarę i nadzieję czerpią, —
czy wszystko jest, jak było przódziej,
kiedy to On — Pan Jezus — mieszkał pośród ludzi.
Miłość i boleść miał na twarzy
dwie najmożniejsze w świecie, wszechrodzące siły,
a Jego oczy przesmutne mówiły,
że boleść On odbiera, a miłością — darzy...

Patrzył — — a świat się zwolna zanurzał w omgławie
i rosy lzy perliste świeciły na trawie...

1925

Meorum Prime Sodalium

Pamięci porucz. Jana Surzyckiego poległego w obronie Śląska w maju 1921 roku

Kwiaty — i kwiaty wokoło,
jak w czernichowskim ogrodzie...
Idę za tłumem — i pochylam czoło
przed tą trumienką tą przodzie.

Słońce na rosy kropkach połyska tęczowo,
precz rozgania ostatki porannej omroczy.
Idę, idę z opuszczoną głową —
i w ziemię utkwilem oczy.

Planty, odziane barwą zieloną i krasną,
szelstem wiatru gwarzą i ptaszęcą pieśnią...
Czyliż tym ludziom, co na wieki zasną,
dawne sny szczęścia się odeśnią?

Skrwawiona szabla na trumnie
i białych kwiatów wiązka...
Przywieźli, przywieźli ku mnie
Jasia mojego ze Śląska!

Przywieźli — by we mnie rozpalic
tę jego śmiertelną ranę,
by w mojej duszy utrwalić
te rysy, tak dobrze mi znane!

Przywieźli — do wspólnych szeregów
raz jeszcze — ostatni — powołać
dwóch druhów-przyjaciół, najpierwszych kolegów,
co razem przez życia szli połąć;

dwóch druhów-kolegów, związanych przyjaźnią
jut od lat dwudziestu — czy więcej...
Bośmy przyjaźń zawarli — braterstwo broni —
już w dobie życia dziecięcej.

Pamiętasz, Jasiu, czas ten piękny, czas młody,
gdyśmy śnili o bitwach-piorunach,
gdy z mym koniem drewnianym biegł chyżo w zawody
twój siwy koń na biegunach?

Pamiętasz o mej strzelbie, o twej lancy kończastej,
o tych naszych rycerskich zapędach,
gdyśmy szablą rąbali pokrzywy i chwasty,
co tłumili nam kwiecie na grzędach?

Wszelki chwast był nam wrogiem — więc zaciekłym atakiem
myśmy nań nacierali — zwalczali — tępili.
Bośmy wiernie i święcie służyli pod znakiem
wonnej Róży i przeczystej Lilji.

A gdy wiedliśmy długie przyjacielskie rozmowy,
nieraz jeden przed drugim to wyznał,
że tak samo za Polskę kiedyś walczyć będziemy,
gdy do czynu nas wezwie ojczyzna.

Obietnica spełniona już... W porę-ż
sen się ziścił, w dzieciństwie wysniony!
Danem było nam chwycić za oręż
w świętej sprawie, dla kraju obrony.

A po wielkiej, po zwycięskiej wojnie,
ty, co-ś dług żołnierskiego spłacił obowiązku,
poszedłeś znowu krwią szafować hojnie
za naszych braci na Śląsku.

W czystym cię polu znaleźli —
przy tobie — krwi kałuża grząska — —
I tu cię do mnie przywieźli —
Jasia mojego ze Śląska!...

Przed ludzi rzeszą idziesz przodem —
twa szabla odbłyska się w słońcu — —
Za twoim dziś, Jasiu, przewodem
idę — na szarym gdzieś końcu...

Na lawecie cię wiozą armatniej —
dziś, choć młody, od wszystkich tyś starszym!
Dzisiaj, Jasiu, już po raz ostatni
żołnierskim z tobą kroczę marszem!

O, na wieki będziesz mi żywy,
choć zabrany śmiercią Nielitosną.
Nie zgłuszają twej mogiły chwasty i pokrzywy,
lecz na nie wonne róże i lilje wyrosną.

Kwiaty — i kwiaty wokoło,
jak w czernichowskim ogrodzie...
Idę za tłumem — i pochylam czoło
przed tą trumienką na przodzie...

1931

Opuszczony okop

Opuszczony okopie, zapomniany okopie!
O ty śladzie ostatni, śladzie nieukojny
przeogromnej, okrutnej tej wojny,
co lat siedem po całej szalała Europie,
całą ziemią wstrząsała do posad,
w perzynę obracała krocie ludzkich osad,
ludzkich istnień gasiła tysiące, — —

cichy siedzę nad tobą — i w głębi twojej topię
me spojrzenie — bezsłowne — gorące...

Opuszczony okopie — wijący się kręto,
jak olbrzymia tętnica lub żyła!
W ową krwawą godzinę, z płomienia poczętą,
w tobie przecie krew żywa tętniła!
Krew tętniła i wrzała w gorącym ukropie,
ból się w tobie przyczajał, jak w zszarpanym nerwie;
krwawych ludzi gromady, nędzą zżarte i wściekle,
pełzły w tobie, jak gdyby robactwo po ścierwie...
Rany w sobie taileś zapiekle — —
zapomniany, opuszczony okopie!

Opuszczony okopie — o pospólny grobie,
o męczeński cmentarzu ty bratni,
który szarzy żołnierze-skazańce,
na żer posyłani armatni,
już za życia kopali w ziemi — samym sobie!
Jakże ścichły tve rowy, tve schrony, tve szańce,
które — błyskawicowym biegnące zygżakiem —
waliły ongi w ziemię — albo w nieboskłony —
piorunem, co tnie, pali, miazdży i osłupia!...
Gromy stłały... i wszędzie — jakbyś posiał makiem —
taka cisza cmentarna i trupia...
Tu-owdzie drut kolczasty — rdzawy — niesprzątniony —
widnieje — niby strzępek cierniowej korony —
i dawnego męczeństwa jedynym jest znakiem...

Opuszczony okopie — zapomniany okopie!
Jakżeś ty się z latami odmienił!
Pamiętam, żeś był niegdyś jak rozwarta paszcza
hieny, która chciwie padlinę pożera
i ze stygnących trupów z lubością krew żłopie...
A otoś się, jak ogród, rozkwiecił, zazielenił,
cały w kwiatach, jagodach i haszczach...
Twoich twardych poprzecznic groźna, ostra krawędź,
która niegdyś zionęła ogniem kulomiotów,
dziś się układła cicho przy mej stopie,
potulnie do ziemi się spłaszcza,
jak pies, co na skinienie pana swego gotów...
Krzewy leśne, co — niby druga tyraljera —
czołgały się nisko po ziemi,
wznoszą się wzwyż, gałęźmi chwiejąc zielonemi,
szelstem mnie wzywają: «Chodź, z nami pogawędź!
Chodź, chodź, nasz żołnierzyku! My stare kamraty!
Cóż to?... I ty się także odmieniłeś z laty?...»

Opuszczony okopie, zapomniany doszczętnie,
mnie jedynie nie schodzący z pamięci!
Zagubiłeś się wśród mchów i ścieżyn,
wśród paproci i wrzosów i jeżyn: —
widać pragniesz, by nie wiedział nikt o twojem piętnie
ludzkiego przekleństwa i sromu, —
żeby ludzie, boleścią lub wstydem przejęci,
nie chcąc na własne dzieło niszczycielskie patrzeć,
nie próbowali śladów twych ostatnich zatrzeć...

Choć kiedyś, gdy ich znagła szal ogarnie nowy,
znów na siebie się rzucą — zajadli —
i znów się do kilofa wezmą i do szpadli,
zaczną w ziemi strzeleckie ryc rowy...
Dziś — nie jesteś potrzebny nikomu...

Cichy siedzę nad tobą — zapomniany okopie...
Obaj milczym — nie mówim ni słówka.
Obaj — skryci w gęstwiny splot bujny —
wyteżamy wzrok ostry i czujny,
niby na pastwę losu rzucona placówka...
Patrzę — słucham — czy swego czy wroga wytropię...
Wśród twych wnęków, twych zapadłych kabin,
maskowanych kobiercem gęstych, jasnych muraw,
wyteżam wzrok przed siebie — i czuвам jak żóraw —
i w pogotowiu wciąż jestem...
A gdy ZJAWY nadejdą — w widzie czy niewidzie —
wówczas za pierwszym lekkim ich stopy szelestem
zerwę się, myśl w ich stronę zmierzę jak karabin,
wołając: «Stój!... Kto idzie?!...»

1930

Wycieczka

Uciekłem dziś w kraj daleki,
Gdzie rzadko kto z ludzi dotrze:
Zrobiłem wielką wycieczkę
W lata szczęśliwsze i młodsze.

W jedną godzinę przebiegłem
Lat całych dwadzieścia kilka...
(Mówią, że wobec wieczności
Życie to jedna jest chwilka).

I nie wiem, jak to się stało,
Kto zmianę zdziałał tę nagłą,
Że wziął mnie z sobą na kozieł
Furman Bartłomiej Zabagło.

Za mną — na tylnych siedzeniach,
Wybitych skórą i włosiem —
W tej samej bryczce siedziało
Osób już starszych coś z osiem.

Niebardzom uważał, o czym
Gwarzyła ludzi tych reszta,
Bom wiedział, że za natręctwo
Jeszcze z nich który mnie zbeszta.

Zresztą tak była zawiła
I mądra ta ich rozmowa,

Że uchem swem siedmioletniem
Nie rozumiałem ni słowa:

Zdanie zaczęte po polsku
Często kończono z francuska,
A i tak było w połowie
Zgłuszone turkotem wózka.

Więc nie słuchałem tej gwary —
Niech starsi gawędzą sami! —
I na znak lekceważenia
Zwracałem się do nich plecami.

Nie dbałem o nich nic a nic
I w dumnej siedziałem pozie,
Bom po furmanie Zabagłe
Pierwsze miał miejsce na wozie.

Innej słuchałem rozmowy,
Którą wyborniem rozumiał:
Rozmowy kłosów złocistych,
Którą wokoło łąn szumiał.

Słuchałem, jak w głębi między
Odzywa się pasikonik
Piosnką srebrzyście dzwoniącą,
Jak tony szklanych harmonik.

Słuchałem kumkania stawów
Spowitych w rześnej opończy;
Słuchałem drgającej z niebios
Radosnej pieśni skowrończej.

Słuchałem szmeru rzeczulki,
Co po kamieniach się pluska, —
Szmeru, co bywał w połowie
Stłumiony turkotem wózka.

Turkotał wózek, turkotał, —
Koła w nim dudnią i pędzą...
Pył się z nich długi, jak z wrzecion,
Wysnuwał szarawą przędzą...

Turkotał wózek, turkotał,
Jak w młynie żarna i pytle,
I sypał mąką kurzawy
Na nasze podrózne kitle.

Skakała nieraz z radości
Bryczka radosna i wartka;
Jechało się pysznie, wesoło,
A wódką jechało od Bartka...

Jednakże nie był pijany
Furman Zabagło Bartłomiej,
Bo biczem konie poganiał
Najtrzeźwiej i najświadomiej.

Nawet po wielkich wybojach
Wiózł jak po drodze równej —
I tylko z nikim nie gadał,
Bo zawsze był małomówny.

Gwizdał se ino pod nosem
staccata i allegretta,
A czasem na swoje konie
Zawołał «wišta» lub «hetta!»

Czasem się czapką uklonił
Figurze koło gościńca,
Albo któremu z kumotrów,
Co szli na sumę do Tyńca.

A że był człowiek przytomny
I trzeźwy był na umyśle,
Więc konie sprawnie zatrzymał,
Gdyśmy zjechali ku Wiśle.

Na drugim wiślanym brzegu
(Przejechać trzeba tam promem)
Klasztor Tyniecki się wznosił,
Urwiskiem podparty stromem.

Wyrastał prosto z opoki,
W kamieniu cały i cegle,
A bystra woda wiślana
Do nóg mu padła ulegle.

Na starych zmurszałych murach,
Pomiędzy kamienne szczyrby
Wspięły się krzewy zielone,
Kryjąc napisy i herby.

Czas groźne wyrzył tu godła,
Świadcząc, że objął w swe władztwo
Opustoszałe, bezpańskie
Stare tynieckie opactwo.

I w imię wiecznej młodości
Odmładzał murów tych szarość:
Bo już część znaczna zwałiska
Zielenią zdążyła zarość.

I ja się także wspinałem
Na jakąś skarpe zwałoną,
Bom młody był jak te krzewy
I w głowie miałem zielono...

W starym wśród ruin kościele
Ludu zebrały się tłumy;
Dzwony na starych wieżycach
Głosiły początek sumy.

Zabłyły świece woskowe
I wyszła msza uroczysta;

Na chórze głosem ochrypłym
Odezwał się organista.

Pod wtór organów rozgłośny
Pieśń wielka jak fala wzbiera,
Pieśń w nucie swojej fałszywa,
A w treści swojej tak szczerą!

Pieśń, co zebrała ratunku
Od moru, ognia, gradobici, —
By można było — choć ciężko —
Na chleb codzienny zarobić...

Jam się przyglądał stojącym
W ołtarzu świętym postaciom...
Modląc się: «Boziu, daj zdrowie
Ojcu, mamusi i braciom»...

«Zdrowaś» zmówiłem dwa razy,
Potem — w dziedzińcu — raz trzeci,
Licząc jak długo kamień
Rzucony do studni leci.

I pożegnałem tę studnię
(Król Chrobry ponoć ją wykuł),
Bo tam przy promie już czekał
Bartka Zabagły wehikuł.

I znów na lewy brzeg Wisły
Wielka przewiozła nas krypa,
Znów nas witała w Piekarach
Wspaniała, pachnąca lipa.

Znów nas witała swym szumem
I pożegnała uprzejmię
Ta lipa odwieczna, której
Ośm osób wkrąg nie obejmię.

Ośm osób jej nie objęło,
Choć opasali ją kołem,
Aż ja dopiero — dziewiąty —
Rączką ją drobną objąłem.

Siedliśmy znowu na bryczkę;
Bartłomiej z bicza znów strzelił —
I jakby tem cięciem bata
Czas na dwie części przedzielił...

Wśród zbóż i modrych bławatków
Bryczka pomknęła z turkotem,
Aż mnie przywiozła na koniec
Ku dniom dzisiejszym zpowrotem...

Znikła gdzieś w wielkiej oddali
Wysoka skała tyniecka;
Jak zórz ostatki, przygasły
Słoneczne uśmiechy dziecka...

Czas ruszył chyżo z kopyta —
Brzękły wędzidła, chomąta...
Dnia tego chyba już przeszła
Rocznica dwudziesta piąta...

Z dnia tego garść młodych wspomnień
Dziś mi została jedynie,
Zielonych jako te krzewy
W starej tynieckiej ruinie...

15. VI. 1930

Wieża Marjacka

Niby królowa w złocistej koronie,
W szkarłatnym płaszczu gotyckiego tumu,
Stoisz, władczyni łaskawa dla tłumu,
Ku jego straży, chlubie i obronie.
Już na swem czole dźwigasz wieków siedem
I śmiało wznosisz się — nakształt proporca;
Ani się zgięłaś przed Hordą i Szwedem,
Ani cię srogi rozkruszył zaborca.
Nad miastem wiernie pełnisz czujną straż,
Jak cudny pomnik dawnej polskiej chwały; —
Jak pieśń zaklęta, codzien Polsce grasz
Odwieczne, śpiewne, przedźwięczne hejnały...

Zegar dźwiękiem gwarzysz co godzina
Z samotną drużką — wieżycą ratusza;
A ona tobie, jak siostrzana dusza,
Jękiem odgwarza — i coś przypomina...
Jak pozdrowienie jakieś archanielskie
Nad całym miastem gwar ten się rozszerza,
Aż tam, gdzie wzgórze wznosi się wawelskie,
Śpiewa pospołu zegarowa wieża.
Myśl tedy płacze, pospołu — i gdzieśby
Pod nieba jasny wzlecieć chciała szczyt,
Jak ta Najświętsza, którą w swoje rzeźby
Zaklął arcymistrz — nieśmiertelny Wit.

O wieżo, wieżo! wieleż ci winienem
Chwil najcudniejszych w całym życiu mojem!
Tyś dla mnie była zachwytyw Edenem,
Tyś mnie darzyła ciszą i spokojem.
W twych nieskalanych kształtach i dziewiczych
Ja się kochałem, jako małe chłopię,
W twego oblicza rysach tajemniczych,
Co przegładają się w błękitów stropie.
Z twych wielkich okien tak rozległy przecie
I tak cudowny widok był na świat...
O wieżo, wieżo, najpiękniejsza w świecie,
Ty ukochanie moich młodych lat!

1924

W dzień zaduszny

Lubię nawiedzać myślą to ustronie,
Gdzie ty, braciszku, wieczny masz spoczynek;
Pośród stokroci i niezapominek
Tam leżysz senny...
Nad tobą czuwa biały krzyż kamienny...

Las ci pobliski szmery śle i wonie;
Nad tobą brzoza wstrząsa swe warkocze,
Ptak — co odlata — piosenkę szczebiocze,
Rozwodzi żale...
Ty leżysz cicho i nie słuchasz wcale...

Pomnę, jakeśmy na święto Zaduszek
Grób twój wieńcami przychodzili kwiecieć
I na nim światło umarłych zaniecieć:
Błady kaganek,
Co pełgał mgławo wśród barwnych równianek.

Matka mówiła cicho: «Ten kwiatuśzek
Umarł przedwcześnie, nie zaznawszy świata;
Dziś jest aniołkiem, koło Stwórcy wzłata
W słoneczne blaski;
Zmówmy za niego — Zdrowaś pełna łaski...»

Wtedyśmy rączki nabożnie składali
I koło małej mogiłki uklękłszy
Modliliśmy się w cichości największej
I ze łzą w oku
Za brata... co nam nie był znan z widoku...

Dzisiaj na grób ten spoglądam z oddali
I zbiegłe lata przypominam sobie...
Czy kto się modlić będzie na mym grobie
I kto zapłacze,
Gdy na obczyźnie dni skończę tułacze?

Syberja 1917

Podzamcze

Pamięci ojca mego

Jakże dziwna jest myśli siła czarodziejska!
Bo gdy nią dawne moje wspomnienia ogarnę,
to życiem dla mnie tętni nie śródmieście gwarne,
lecz ta — jedna z najcichszych — ulica przedmiejska.

Nie wiem, co ją tak rojną i tak ważną czyni,
że nad wszystkie ulice inne ją przeniosłem.
Bo czyż to rzecz tak wielka, że mieszkałem przy niej —
i to w czasie, gdy byłem dzieckiem niedorośniętym?

Chodnik na niej był kiepski, a bruku — nie było,
i często na niej błoto świeciło rozkiste.
Od kępy plant zbiegała kręto i pochyło,
a jakby rzeczny dopływ, wpadała wprost w Wisłę.

I co się może komu nieco dziwnem wydać,
na domach miała same numery parzyste,
a z nieparzystej strony było niebo widać
i na tle nieba wielkie wieżycy strzeliste.

Zielone, gęstwą krzaków porośnięte wzgórce
hardo się zaznaczało stoku swego zrębem,
dźwigając równie strome zębate przedmurze,
co ząb za ząb walczyło z czasu srogim zębem.

Lecz widziało się przecie, że w owych zapasach
zwycięży i rywała dumnego umniejszy
Czas-władca, co tu władał — już w zamierzchłych czasach —
i znał przeszłość i przyszłość tak jak wiek dzisiejszy.

Niewzruszony skargami ni krzywdą ni buntem,
szedł w niewiadomą przyszłość z przeszłości najdalszej,
twardszy od twardych gładów i od spiżu trwalszy,
choćby ten spiż był dzwonem i zwał się Zygmuntem.

Przeto z niebem gwarzyły dwie dumne wieżycy,
czasu i dziejów smętne rozważając szanse:
z jednej zegar wydzwaniał godziny, kwadranse,
a z drugiej dzwon ogłaszał święta i rocznice.

Tyle razy słyszałem serc spiżowych bicie — —
i wiedziałem, że już dnia minęła połowa,
kiedy, jako wskazówka, wieża zegarowa
wskazywała na słońce, stojące w zenicie.

A gdy noc owładła wielkim niebios stropem,
gdy jak wielka soczewka tkwił na niebie księżyc,
gdy migaly gwiazd punkty, wówczas każda z wieżyc
stawała się jak gdyby wielkim teleskopem.

W chwile te, gdy sen zwodny uśmierza i zwalnia
szalone myśli ludzkie, od kół gwiazdnych prędsze,
nasze małe mieszkanie — tam na pierwszym piętrze —
patrzyło w gwiazdy, niby cicha dostrzegalnia.

W ojca mego pokoju nieraz w nocy owe
lampa długo, jak gwiazda promienna,
płonęła — i widać było jasną i natchnioną głowę,
pochyloną nad kartą olbrzymiego dzieła.

Jasne gwiazdy świeciły tym poczętym dziełom;
patronował im wiernie, jak druh i powiernik,

ten co w niebiańskich sferach wielki zdziałał przełom
i ziemię z posad ruszył, a zwał się — Kopernik.

Nigdy on tobie, ojcze, nie skąpił odwiedzin;
a za nim przychodzili też inni, co sami
byli iście jasnemi ludzkości gwiazdami,
jako odkrywcy nowych promienistych dziedzin.

Wsparci na niebie — jakby na wielkiej opoce —
wieńczyli czoło gwiazdą przejasną: idea.
I rozmawiali z tobą w te gwiazdziste noce
Leonardo da Vinci, Kepler, Galileo...

Umysł twój, jak ognisko we zwierciadle wklęsłym,
skupiał w sobie odległe wzajemnie promienie
i poprzez gwiazd pomosty snuł — przeszło za przęsłem —
drogę w niedostrzeżone czasy i przestrzenie.

Ten glob ziemski, niejasny, nikczemny i mały,
tobie złotych dróg gwiazdnych przesłaniała warstwa,
Wobec ogromu niebios śmieszne ci się zdały
wszelkie ludzkie potęgi, państwa i mocarstwa.

Wśród gwiazd (mawiałeś) niema podłości i zbrodni,
nienawiści i złości, przemocy i wroga.
Tam świat jasny, otwarty — tam się najswobodniej
żyje i najszczęśliwiej — bo najbliżej Boga!

Dzisiaj w świat ten odszedłeś, złocisty promieniu,
pitagorejska cudna muzyko mej duszy...
Czas, który zręby murów i wieżycę kruszy,
kres położył twojemu ziemskiemu istnieniu.

Choć z wieży bije zegar, ty ulicą znaną
nie podążasz na wykład do starej uczelni,
boś nawiedził tę szkołę gwiazdną i świetlaną,
gdzie się wiecznych prawd Bożych uczą — nieśmiertelni!

A gdy cię przywołuję mem tęsknem wspomnieniem,
spraw, byśmy sobie nigdy nie byli dalecy!
Bądź moją jasną gwiazdą i mojem natchnieniem, —
Głowo, kochana Głowo, jak mawiali Grecy...

1929

Rozmowa z cieniem

Zawsze ciebie widziałem w cieniach mej przeszłości
I twojego początku dociekam daremnie.
Nie wiem, czy jesteś synem nocy czy światłości —
Jedno tylko wiem, cieniu: — żeś zrodzony ze mnie.

Było to w czasach, których nie objąć wspomnieniem —
Bo pamięć ma nie sięga nawet do kołyski —

W czasach, co dawno zmierzchły i dni swych przeblyski
W cień rzuciły... i stały się wraz z tobą — cieniem.

I jeno żyje we mnie ta myśl podświadoma,
Która niejasne słowa fantazji mej szepce —
Żem już wtedy cię chwycił drobnymi rękoma,
Gdym z tobą, jak brat bliźni, wraz leżał w kolebce.

Nie chwyciłem cię ręką, lecz chwyciłem wzrokiem —
Byłeś pierwszym wrażeniem, jakiegom ja doznał.
Oszołomiony zjawisk nieznanym natłokiem
Dzięki tobie-m kształt pierwszy, pierwszy ruch rozpoznał.

I może-ś tak zniecacka włóczył się wokół,
I pozorami rzeczy różnych mnie omamiał,
Że nieraz cień przestachu kładł się na me czoło,
I żem *cień* odtąd często z *lękiem* utożsamiał.

Odtąd... bo odtąd coraz częściej się kojarzysz
Z moimi wspomnieniami, cieniu mój posepny!
Gonisz pierwsze me kroki — mych zabaw towarzysz —
Proszony — nieproszony — ale nieodstępny.

Jako rówieśnik, rosłeś ze mną jednocześnie,
Ze mną spać szedłeś wczesną godziną wieczorną,
Lecz nieraz, jak żak-łobuz, bawiłeś mnie we śnie
Figłami — lub straszyleś postacią potworną.

A widząc, iż się tobą trwożę lub ciekawię,
Takeś już zbisurmaniał i tak zezbereźniał,
Żeś takie same figle płał mi na jawie
I wciąż mnie naśladował — lub częściej przedrzeźniał.

Podobniśmy do siebie — jak dwie rzeczy bliźnie;
Lecz ty, snać chcąc zaznaczyć różność naszych natur,
W żywe oczy urągasz mojej podobiznie,
Przerabiając ją w tysiąc śmiesznych karykatur.

Jakbyś kładł moją postać na łożu Prokrusta,
Umiesz jej tuszy dodać albo wzrostu odjąć.
Nie wiem, czy to złośliwość czy swawola pusta, —
Czy jesteś mym obrazem, czy moją parodią.

Nie wiem — bo mi nie dano spojrzeć w tve źrenice,
Z którychbym myśli twoje czytał i zamiary;
Płaskie i ciemną sadzą zatarte masz lice,
Jesteś, jak widmo — wiotki, bezoki i szary.

Nie wiem, czy ci źle ze mną czy dobrze. Wiem jeno,
Że przez dzień cały chodzisz ze mną, jak najęty
I niezrażony żadną przygodą ni sceną
Natrętnie i wytrwale włazisz mi na pięty.

Włóczyz się wszędzie za mną, jak stary pieczeniarsz,
Do moich nóg przykuty, jak do progu listwa;
Aż czasem sobie myślę, że pewno oceniasz
Korzyści, jakie ciągniesz z mego towarzystwa...

Lecz gdy nadciągną chmury lub wieczór się zmierzchnie,
Próżno wtedy, mój cieniu, szukam cię koło mnie;
Znikasz — jak w chwilach nieszczęść nieraz się rozpierzchnie
Rzesza druhów, rzucając druha wiarołomnie.

Lecz nie sądzę cię ostro; — bo jak moje życie,
Tak i twoje się wiąże ze światła istnieniem.
Bo gdyby nie jaśniało słońce na błękicie,
Gdyby światła nie było, ty nie byłbyś — cieniem.

Nie przeszkadza to jednak, że gdy idę z tobą,
Ty — przez światło do życia powołany co dzień —
Na światło nie śmiesz wyrzeć, lecz za mą osobą
Przed słońcem się ukrywasz, jak zły duch lub zbrodzień.

Skryty jesteś z natury. — Choć wciąż żyjesz ze mną,
Nigdy z twych ust nie słyszałem żadnego wyrazu.
I gdy do ciebie mówiłem, to zawsze daremno
Przemawiałem — jak ów dziad — do swego obrazu.

Czasami, kiedy z tobą jedynie sam jestem
I gdy jestem trapiiony myślami smutnemi,
To i ja nic nie mówię... ale zato gestem
Rozmawiamy ze sobą — jak dwaj głuchoniemi.

Lecz nigdy mi nieznany tej rozmowy wynik,
Bo gdy ręce załamię — gdy ból twarz mą ściąga,
Ty często me uczucia przedrwiwasz jak cynik,
A twarz twoja — czy nie twarz — śmiechem mi urąga.

Wiecznie milczysz — u stóp mych — szary towarzyszu...
I nawet nie pożegnasz mnie cichem westchnieniem,
Gdy spocznię — już bez ciebie — w grobowym zaciszu,
Gdy na wieki w zaświaty już odleczę — cieniem.

1930

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/birkenmajer-wycieczka-tomik/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Birkenmaje, *Wycieczka, Poezje*, Warszawa 1932.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikizródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Marta Niedziałkowska, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

ISBN 978-83-288-0082-3

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).